

DARIUSZ BILSKI

ŻYĆ

teksty do spektaklu

Jestem narratorem. Narrator jest nikim. Narrator mówi, ale narrator nie istnieje. Jestem narratorem. I widziałam jak dziewczyny i chłopcy spotykają się wieczorem na placu. Przychodzą z różnych stron. Dziewczyny z południa, chłopcy z północy. Stają w różnych częściach placu i patrzą na siebie, a potem, kiedy zapada już zmrok, zaczynają się zbliżać. Nie mówią nic, tylko uśmiechają się do siebie. Chłopcy patrzą na piersi dziewczyn. Dziewczyny patrzą na ramiona chłopców. Chłopcy myślą o delikatnej skórze dziewczyn i ich okrągłych biodrach. Dziewczyny myślą o pocałunkach. I wciąż zbliżają się do siebie. Każde z nich wypatrzyło już sobie kogoś. Kiedy plac okrywa ciemność są już tak blisko, że czują swoje oddechy. Setki par zebranych na placu. I nagle, na jakiś niewidzialny znak rzucają się na siebie łapczywie i pieprzą do nieprzytomności. Robią to z taką dynamiką, że powierzchnia placu grzmi, a szyby w wystawach sklepowych dzwonią.

Po chwili kończą, szybko poprawiają ubrania i rozchodzą się w strony, z których przyszli. Cała sytuacja trwa jakieś dwadzieścia minut. Nie więcej. I gdyby ktokolwiek z mieszkańców okolicznych domów otworzył wówczas okno i wyjrzał na plac, zobaczyłby wstrząsającą masę gołych tyłków poruszających się w biologicznym rytmie Ziemi.

Wyszłam do sklepu jak zwykle. Chciałam po prostu kupić coś do jedzenia. To był sklep na sąsiedniej ulicy. Wokół pachniało kwitnącym bzem. Szłam i nagle poczułam w nogach coś dziwnego. Jakby ktoś mnie włączył. Zaczęłam dziwnie podrygiwać. Chciałam tylko kupić coś do jedzenia, a tu nagle podrygi. Ludzie oglądają się za mną, a ja cała żółta. Ludzie oglądają się za mną, a ja cała niebieska. I podrygi. Podryguję. Chciałam wrócić do domu, ale akurat zaszło słońce i zupełnie zapomniałam, jak się chodzi po ciemku. Podrygując przeszłam przez ulicę i zniknęłam w parku. Chciałam tylko kupić coś do jedzenia, a tu nagle podrygi. Chciałam tylko kupić coś do jedzenia, a tu nagle zaszło słońce i straciłam dom. Biegałam po parku i krzyczałam: Alleluja, Alleluja! Aż mnie zatrzymali i związali. Od tamtej pory nic nie jem. Bo nic nie kupiłam.

Wszyscy moi chłopcy hopsali ze mną. Wszyscy moi chłopcy hopsali ze mną. Jeden bardziej, drugi mniej. Wszyscy moi chłopcy rozbierali mnie, a potem kładli się na mnie i musiałam znosić ich ciężkie hopsanie. A teraz hopsam sama...

Znowu buduję maszynę życia. Mam nowe plany, poprawiłem poprzednią konstrukcję. Drobne części pozlepiłem z większymi. Bardzo małe z jeszcze mniejszymi. Konstruuje maszynę u siebie na podwórku. Sąsiedzi otwierają okna i wyglądają. A ja buduję, przylepiam, wkręcam, przykręcam, przyczepiam. Maszyna rośnie w górę. Nie wiem czy będzie działać, ale jest już piękna. Nie wiem, czy będzie żyła, ale już tchnie życiem.

Buduję maszynę życia. Bo zbyt wiele jest we mnie śmierci. Może uda mi się zabić śmierć. Przy pomocy mojej maszyny. Może wszyscy ludzie z mojej kamienicy będą od dzisiaj szczęśliwi. Moja maszyna życia pozbawi ich śmierci. A potem zbuduję maszynę śmierci. Bo trudno żyć na okrągło.

Patrzę na niego, jak leży w łóżku. Ciężko oddycha. Głowę ma odwróconą na bok. Ręce rozrzucone na pościeli. Patrzę na niego, jak leży w moim łóżku. Jak światło ulicznej latarni pada mu na twarz. Patrzę na niego siedząc na krześle obok łóżka. Jest mi zimno, drzę, ale nie chcę się położyć. Chcę siedzieć i patrzeć na niego - śpiącego - aż poczuję się lepiej.

Ktoś w nocy ukradł moją maszynę. Rano na podwórku znalazłem tylko kilka śrubek. Sąsiedzi milczą. Patrzą na mnie jakoś dziwnie i milczą. Pozamykali okna. Nie chodzą po schodach. Nie szurają. Nie tupią. Nie zamiatają podwórka. Podniosłem śrubki i schowałem je do kieszeni. Może kiedyś zbuduję nową maszynę. Może będzie inaczej. Może zabiję wszystkich sąsiadów i porozwieszam ich ciała na murze kamienicy. Jak flagi w dzień świąteczny.

Jestem narratorem. Narrator wie wszystko. Wieczorem przyszła Irenka. Trochę popłakała, jak to Irenka, a potem zapytała czy nie mam jakiegoś kielicha. Odparłam, że niestety, same szklanki, ale może ta z góry ma, bo kiedyś widziałam u niej takie duże, do wina. Irenka spojrzała na mnie dziwnie, klepnęła się po udach i poszła do wyjścia. - Młodzież teraz jakaś zupełnie inna - westchnęła już w drzwiach.

Czasem popołudniu wychodzę do lasu. Z nikim nie rozmawiam. Patrzę tylko jak słońce przebija się przez liście. Chodzę, patrzę w niebo, a niebo patrzy we mnie. I może mogłabym się unieść. Może mogłabym się unieść. Może któregoś dnia, mogłabym się unieść.

Nie chcę wracać do domu. Nie chcę wracać do domu.

Wypadłam przez okno. Pośliznęłam się na parapecie. Palce zsunęły się z krawędzi okna i wypadłam. Teraz spadam. Widzę siebie jakby z boku. Łopocząca sukienka. Rozwarte ramiona. Nogi dziwnie ułożone. Powoli opadam ku ziemi. Widzę twarz. Nie krzyczę. Jestem spokojna. Ziemia zbliża się. Narazie to tylko dalekie płyty chodnika. Potem wyraźniej widzę szczeliny. Unoszę głowę. Widać spory kawałek miasta. Ruch na ulicach. Tramwaje, samochody, autobusy. Ludzie. Spadam delikatnie. Czuję jak powietrze przesuwa się po mojej skórze. Czuje się dobrze. Jestem coraz niżej. Dach domu przesłonił mi już słońce. Teraz chodnik jest bardzo blisko. Na wyciągnięcie ręki. Bliżej. Bliżej. Bliżej.

Jestem narratorem. Narrator nie istnieje. Kiedy wyszedłem na rower, przed klatką stał Staszek z drugiego. Jego biały podkoszulek był nieco wyciągnięty i zszarzały. W granatowych spodniach z bistoru miał kilka dziur, zaś sandały tak popękane, że zastanawiało w jaki sposób trzymają się stóp. Stał, palił papierosa i przyglądał mi się w milczeniu. - Tak, rower dobra rzecz - rzucił w pewnym momencie. - No - potwierdziłem z grzeczności. Staszek wypuścił duży kłęb dymu. - Miałem, cholera, rower, ale mi jakie sześć lat temu ukradli. Z komórki. Skurwysyny. - splunął gwałtownie na chodnik. - Ja też trzymam w komórce. - powiedziałem nieśmiało. Staszek zaciągnął się ostatni raz, spojrzął na niedopałek między palcami po czym strzelił nim daleko na trawnik. - No to ci też, kurwa, ukradną - rzucił odchodząc chwiejnym krokiem w kierunku spożywczego.

Mamusia biegnie za mną. Drobnymi krokami. Pilnuje, bym się nie przewrócił. Mamusia mówi do mnie spokojnym głosem. Przytrzymuje mnie, kiedy się chwieję. Mamusia bierze mnie na rękę. Tuli. Całuje. Mamusia przyciska mnie mocno. Potem rozpina bluzkę. Odsłania pierś. Widzę jej kształtną, ogromną, pełną pierś. Przysuwa mnie do niej. Biorę tę pierś w usta. Ściskam mocno. Pierś mojej mamusi jest gorąca i miękka. Czuję jak mleko spływa mi do gardła i widzę dziwny wyraz twarzy mojej mamusi.

Czasem budzę się w nocy. I czuję, że jestem wilgotna. Czasem dotykam swojego brzucha i swoich ud i czuję rosnąca przyjemność. Chodzę naga po mieszkaniu i bawi mnie, że powietrze dotyka wszystkich, najbardziej intymnych miejsc. Czasem tęsknię i wyglądam przez okno. Nocą budzę się wilgotna.

Skonstruowałem skrzydła. Ogromne skrzydła latawiec. Wyszedłem z nimi z domu. Wielka przestrzeń. Wielka cisza. Wielki błękit. Wciągnąłem je na szczyt góry. Założyłem na ramiona. Pomyślałem: skoczę i będę się unosić. Będę fruwać. Ale nagle niebo nade mną otworzyło się i wyjrzała dziwna, zmarszczona i posiwiała postać. Starzec pochylił się, uniósł palec wskazujący i pogroził mi nim znacząco. "A ty tu czego?" - powiedział. "Wypierdalaj". I zniknął.

Podpaliłem skrzydła. Kiedy schodziłem z góry, czułem jeszcze za plecami ciepło ogromnego płomienia.

Znalazłem tak duży liść, że mogłem się pod nim schować. Wziąłem go ze sobą. Ciągnąłem aż do centrum miasta. Położyłem na głównym placu, wszedłem pod niego i udawałem, że nie istnieję. Wokół ludzie nie zwracali na mnie uwagi. Mówili sobie: liść, co tam liść, jest jesień, liść normalna rzecz. A ja pod liściem ukryty, schowany mogłem nareszcie spokojnie przypatrywać się. Nikt mnie nie nękał. Nikt mnie nie zaczepiał. Nikt o nic nie prosił. Nie musiałem niczego udawać. Liść stał się moim azylem, moją wolnością.

Nagle patrzę, zjawił się cieć Władysław z miotłą. I ten skurwysyn zmiotł mnie razem z innymi liśćmi na kupę. Już miałem mu coś powiedzieć, a tu widzę - pod każdym liściem kupy jakiś człowiek, a cały ten tłum wrzeszczy i klnie na ciecia Władysława.

Wtedy weszli do mojego mieszkania. Uderzyli w drzwi, a te otworzyły się na oścież. Weszli i zaczęli się przyglądać moim rzeczom. Zobaczyli sufit w biało - niebieskie pasy. Zobaczyli Aparat Czujności. Zobaczyli Ciszę do Snów w srebrnych słoikach. Zobaczyli zdjęcia tych wszystkich kobiet sklezione ze sobą. Zobaczyli mój piec, w którym spaliłem setki tysięcy dźwięków. Zobaczyli mnie leżącego na łóżku, skulonego, z igłami wbitymi w czaszkę. Zobaczyli mnie skupionego na strumyczkach krwi spadających na podłogę. Zobaczyli mnie w skarpetkach i z penisem przywiązany do szyi. Zobaczyli i chcieli mnie ze sobą zabrać. Długo mi się przyglądali. Nie wiedzieli co zrobić. Zobaczyli mnie jak odchodzę.

A potem rozeszli się. Każdy w swoją stronę. Choć nigdy się nie spotkali. Jeden poszedł w lewo. Drugi w prawo. A pozostali gdzie indziej. Jeszcze przez moment mogli się widzieć. Mogli się rozpoznać. Mogli pomachać do siebie. Ale zaraz potem byli zbyt daleko. Skrył ich horyzont, mgła, deszcz, drzewa, domy. Nigdy się nie spotkali. I nigdy się nie spotkają.